

Getto

Kacper Ponicki

Rozdział 1

Po południu budzi mnie krzyk małej Kasi. Maria próbuje ją uciszyć, ale to nic nie daje. Niemowlę płacze w głos, a moja głowa zaczyna pękać z bólu. Zwykle nie śpiam po południu, ale po dzisiejszym poranku musiałem odpocząć. Z wielkim oporem i łupaniem w czaszce podnoszę się z łóżka. W tym momencie do pokoju wpada Hubert, mój 11-letni brat, i przy otwartych drzwiach wrzask dziecka staje się jeszcze bardziej nie do zniesienia.

- O, dobrze, że już wstajesz. Mama prosi, żebyś zaniósł te worki z ubraniami, o których mówi od trzech dni.

Matka jest altruistką. Zawsze musi komuś pomagać, chociaż sami ledwo dajemy radę, kiedy nie ma ojca.

- Pójdiesz? Spotkasz się z Gabriellą? – mówi, przeciągając ostatnią sylabę i chytrze się uśmiecha.

Jeszcze nie do końca doszedłem do siebie, ale wyczułem złośliwość w jego głosie.

- Uciekaj, ale już!

Ruszam w jego stronę, a on czmycha pod drzwi, śmiejąc się.

Schodzę do wspólnej kuchni na parterze. Marii udało się wreszcie uciszyć dziecko, co trochę uśmierzyło mój ból głowy. Podchodzę do matki, która myje naczynia. Wokół nas biega trzech małych Strzałkowskich, co chwilę krzycząc. Na co dzień jestem do tego przyzwyczajony. Ale nie dziś. Dziś wszystko mnie denerwuje.

- Pójdiesz do Julii z ubraniami? Podobno zna kogoś, komu przydadzą się bardziej niż nam - pyta mama. - Hej, ale chłopcy uważajcie! - zwraca uwagę dzieciom, które właśnie śmignęły między nami. - Możesz to zrobić?

- Tak, jasne. Coś jeszcze?

- Nie. To wszystko – wzdycha, jakby wyczuła irytację w moim głosie.

Nie powinienem się tak wobec niej zachowywać. W czym ma łatwiej ode mnie, żebym mógł ją w ten sposób traktować? Każdemu z nas jest ciężko na swój sposób. Z wyrzutami sumienia wychodzę z domu, zabierając dwie wielkie reklamówki pękające od ciuchów. Po przejściu pierwszego skrzyżowania dogania mnie Igor. Jest dwa lata młodszy ode mnie, niższy, ale lepiej zbudowany. Podbiega i pyta, czy może iść ze mną. Oczywiście się zgodziłem, jest moim najlepszym przyjacielem. Przegadaliśmy całą drogę do Małachowskich. On też nie ma lekko w domu. Jego tata pracuje jako sprzątac, matka, jak wszystkie kobiety w Getcie, jest bezrobotna, a on ma na głowie czwórkę młodszego rodzeństwa 24 godziny na dobę przez siedem dni w tygodniu. Często zwierza mi się, jak ciężko mu niekiedy żyć z taką ilością sióstr i braci. Jako najstarszy musi walczyć o trochę miłości, bo uwaga rodziców skupia się na najmłodszych. Mimo to wydaje się, że ich rodzina trzyma się lepiej niż nasza.

Dom Małachowskich to parterowa buda z desek i metalowych blach. Właściwie całe Getto wygląda jak wielkie slumsy. Zauważam Julię na zewnątrz, jak naprawia coś w dachu.

- Pokój!

- O, witajcie! Pokój z wami! - woła, schodząc po drabinie. Ma na sobie roboczy fartuch, który kiedyś zdaje się był biały, włosy, zazwyczaj rozpuszczone i sięgające aż do pasa, teraz są spięte w kok. - Matylda przekazuje ubrania? Dziękuję bardzo, przydadzą się. Chodźcie do środka.

- Dzięki, musimy zaraz wracać.

- Stary nie bądź taki spięty, przynajmniej odpocznijmy trochę od tego hałasu w domu – proponuje przyjaciel i rusza za Julią w stronę drzwi. Niechętnie podążam ich śladem.

Barak Małachowskich jest urządzony bardzo podobnie do naszego. Jadalnia, kuchnia i przedpokój to jedno pomieszczenie. Mały, kwadratowy stół z czterema krzesłami stoi w rogu pod oknem na lewo od wejścia. Pod przeciwległą ścianą znajduje się kuchnia, w której już zaczyna krzątać się Julia, przygotowując herbatę. Prawą ścianę pokoiku zajmuje skórzana kanapa, ustawiona wzdłuż ściany. Dalej ciągnie się ciemny korytarz w głąb małego domku.

- Gabrieli nie ma? - pyta Igor, kiedy już siedzimy przy stole. Robi przy tym znaczącą minę w moją stronę, za co odruchowo szturcham go w bok.

- Nie. Poszli na targ, żeby... Oho, o wilku mowa!

Do domu wchodzi Gabriela, a za nią jej tata. Ona jest ciemną brunetką z pięknymi, dużymi, brązowymi oczami i delikatnie kręconymi włosami sięgającymi za łopatki. Zawsze, kiedy jest w pobliżu, czuję się jakoś nieswojo.

- O, a kto to nas odwiedził! Cześć chłopcy! – na jej drobnych ustach maluje się słodki uśmiech.

- Pokój z wami – męskim uściskiem ręki wita nas gospodarz. Samuel to wysoki, szczupły, mężczyzna po czterdziestce z wyłysiałym okrągłym plackiem z tyłu głowy. W ogólnym odbiorze jego postać wydaje się przyjazna, a równocześnie surowa.

- Co u was Arielu? – spogląda na mnie dwoje anielskich oczu dziewczyny.

Choć w naszej społeczności to rzadkość, Gabriela jest jedynaczką. Jednak dla Małachowskich jej narodziny były cudem. Długo modlili się o potomstwo, którego nie mogli mieć z klinicznych względów. Wreszcie Pan się nad nimi ulitował i obdarzył chyba najpiękniejszą istotą jaką kiedykolwiek żyła na Ziemi.

- Tomasz uwzględnił moją prośbę w sądzie? - wtrąca się Samuel, uwalniając mnie od pytań jego córki.

- Nie wiem, jeszcze się z nim nie widziałem.

- Zapytasz go? To dla mnie ważne.

- Jasne.

Dopijam herbatę i daję znak Igorowi, że na nas już czas.

- Nie zostaniecie na kolacji? - pyta Julia.

- Nie. Naprawdę musimy już wracać. Nie wiem, czy mama nie da mi jeszcze jakichś obowiązków - wymyślam najgłupszą wymówkę na jaką mnie stać.

- A ty Igor?

- Muszę z ojcem po pracy przenieść meble od sąsiadów.

- Od Kurowskich? - pyta Samuel.

Igor kiwa głową twierdząco.

- Wyprowadzili się do miasta. Niech Bóg ma nad nimi miłosierdzie – wzdycha Samuel.

Ruszamy w drogę powrotną. Zdecydowałem się wracać przez Plac Główny, a potem wzdłuż muru. Słońce już zaszło i szarość powoli ogarniała ulice pozbawione lamp. Ludzie wracali do domów po całym dniu pracy. Niektórzy brudni, ponieważ nie każdy miał dostęp do bieżącej wody w ciągu dnia. W półmroku nie można było dostrzec twarzy, dlatego każdy wydawał się taki sam. Podobnie było z domami. Wszystkie zbite w jednolitą bryłę szarości i brązu. Miałem dość tego widoku. Często nienawidziłem swojego życia tutaj i tego, że przez zatwardziałą wiarę rodziców, trafiliśmy do Getta. Nie podobało mi się to, że nie możemy być jak normalna rodzina, bogaci i szczęśliwi, chociaż zawsze jakiś głos w mojej głowie przeczył tym myślom.

Szliśmy wzdłuż ogrodzenia. Nagły huk wyrwał mnie z zamyślenia. Ktoś na zewnątrz przeklął i usłyszałem świst petardy nad głową. Podniosłem wzrok i zobaczyłem lecącą jaskrawoczerwoną racę. Wylądowała na dachu najbliższego baraku. Przekleństwa z zewnątrz nie ustawały, natomiast z wnętrza domku usłyszałem krzyk dziecka. Nad głowami zaczęły nam świstać kamienie i uderzać z

hukiem w blaszany dach. Z Igorem przywarliśmy do ściany, żeby nie oberwać lecącymi odłamkami szkła, śmieci i gruzu. Przez megafon usłyszeliśmy głos strażnika:

- Obywatelu, odejdź od ogrodzenia!
- Walcie się urzędasy! - odkrzyknął głos zza muru.

Kamienie nie przestawały latać i uderzać w dach. Z mieszkania wyszedł zdenerwowany mężczyzna, zauważył nas i stanął na progu.

- Zostań w środku – ostrzegam go i wskazuję na świszczące w powietrzu odłamki.

Z megafonu ponownie słychać strażnika:

- Obywatelu, odejdź od ogrodzenia! Masz ostatnie ostrzeżenie!

Miastowy rzuca kilka przekleństw w kierunku żołnierzy i zwraca się do nas:

- A wy katolickie ścierwa nie przeżyjecie kolejnego miesiąca! Wasz Bóg was opuścił! To Getto spłonie!

Z daleka słychać syreny policyjne, więc napastnik ucieka. Gdy sytuacja się uspokaja, ruszamy z Igorem w dalszą drogę. W niecałe 5 minut jesteśmy w domu.

- Ariel! Wróciliście! Wreszcie! Bałam się o was. Co się stało? – zrozpaczona matka wita nas krzykiem od progu.

- Przy zachodnim murze było zamieszanie. Ale jesteśmy cali – odpowiada Igor.

- Julia dziękuje za ubrania - odzywam się. - Ojciec wrócił? Samuel prosił, żebym przypomniał mu o jego sprawie.

- Nie, jeszcze go nie ma. Połóż Dawida, proszę. Hubert do spania! Jutro o 9:00 masz zajęcia z matematyki!

Idę do pokoju średniego brata, zatrzymuję się na progu i patrzę na niego jak leży bezwładnie na łóżku. Zauważa mnie swoimi wielkimi wybałuszonymi oczami. Z wykrzywionych ust wydobywa się jęk.

- Aaa...eee...lll!

Podchodzę do łóżka, żeby go podnieść i umyć.

- Choć braciszku, trzeba się ogarnąć i iść spać.

- Aaa...eee...lll...mmm....yyy...aaaa!

Jego zapadnięte policzki się podnoszą i na ustach pojawia się uśmiech, a z oczu bije radosny blask. Przysuwam do łóżka specjalny stelaż z uchwytem, żeby mógł się go złapać i podciągnąć. Potem rozbieram go i korzystając z miski z wodą obmywam spocone ciało. Co jakiś czas pozwalam sobie zażartować, łaskocząc brata, za co otrzymuję szturchnięcia łokciem i pisk połączony z głośnym śmiechem.

- Haha, nie drzyj się tak, maluchy Strzałkowskich już śpią – zwracam mu uwagę między własnymi salwami śmiechu i znowu go gilgoczę.

Po umyciu Dawida poprawiam poduszki na pościeli, opatulam kołdrą i wręczam ulubionego misia nadszarpniętego siłą czasu i miłości właściciela.

- Dobranoc ziomek – uwielbia, gdy się tak do niego zwracam.

- Oc...mek! – podnosi rękę, czekając aż przybiję mu piątkę, co czynię z uśmiechem.

Po tych zabiegach, chcę porozmawiać z tatą, który wreszcie wrócił. Schodzę do kuchni, gdzie oprócz Jana Strzałkowskiego siedzi matka i Maria, usypiająca na rękach malutką Kasię. Zmęczony ojciec wysłuchuje mnie, jednak nie może sobie podarować kilku moralizmów.

- Co działo się dzisiaj rano przy odbiorze paczek? Edward mówił, że widział cię rozmawiającego ze strażnikiem. O co chodziło?

- Nic. Marcel to dobry człowiek. Po prostu rozmawialiśmy.

- O mieście?

Milczę przez chwilę, jednak wzrok ojca zmusza mnie do mówienia.

- Tak. Ale...

- Nie obchodzi mnie to! Masz zakaz kontaktowania się z tymi ludźmi! Pamiętaj „unikajcie wszystkiego, co ma choćby pozór zła”. Nie życzę sobie, żeby moje dzieci miały coś wspólnego z poganami!

Zmieszana Maria popatrzyła na nas obu. Nastąpiła bardzo długa chwila ciszy. Pomyślałem, że w tym ostatnim zdaniu, zabrzmiał jak Żydzi. Na historii uczyli nas, że był to dawny lud, z którego wywodzi się nasza wiara. Wyginęli krótko po wojnie. Podobno byli bardzo radykalni, przestrzegali przepisów prawa ściślej niż ktokolwiek na Ziemi. Mimo wielu różnic i nieporozumień, szanowaliśmy ich i żyliśmy w zgodzie.

Milczenie przerywa ojciec:

- W mieście ludzie są niespokojni, zaczynają się buntować, a rząd nie zamierza ich powstrzymywać.

- Przecież prezydent trzyma naszą stronę – odezwała się matka.

- On tak, ale jest słaby, poza tym ma związane ręce przez ministrów.

- I co nam mogą zrobić? - wtrącam się. - Wybiją nas? To będzie ludobójstwo. Świat na to nie pozwoli.

- Żyjesz złudzeniami synu. Twoje przekonania były coś warte kilkanaście lat temu. Nie dziś. Społeczeństwo chce naszej śmierci tak samo jak rząd. Dla nich to po prostu kolejne kilkaset istnień, które trzeba poświęcić, by im żyło się lepiej - surowo zwrócił uwagę ojciec.

- W takim razie dlaczego to robimy? Po co tak upieramy się przy naszej racji? Skoro większość ludzi myśli inaczej, może mają słuszość?

- Ariel, nie wtrącaj się w sprawy, których jeszcze nie rozumiesz.

Coś mnie zakłuło w środku, gdzieś na wysokości mostka. Zawsze tak mówił, gdy nie chciał mu się ze mną dyskutować. Miałem tego dość, jestem już prawie dorosły, mógłbym się wyprowadzić, wyjechać do miasta, jeśli bym chciał. Wściekły wstałem od stołu i bez słowa poszedłem do pokoju. Przecież wiem lepiej od nich i jestem pewny swoich przekonań. Zresztą cała ta sprawa wiary, Boga, który właściwie nie wiadomo, czy istnieje, a jeśli tak to, czy o nas przypadkiem nie zapomnieli, wszystko to zaczynało mnie drażnić. Codzienna wieczorna modlitwa w rodzinie? Tak, moje ciało bierze w niej udział, powtarzam też wyuczone zwroty, jednak nic więcej. Często widzę jak mama wkłada w to całe swoje serce, jak uczy tego Huberta, tak jak kiedyś mnie. Dla niej jest to najważniejszy moment w ciągu dnia. Czasem obserwuję ją, gdy pracuje, a jej usta poruszają się bezdźwięcznie wymawiając prośby, a może podziękowania. Szkoda, że nie każdy tak potrafi.

Nastał kolejny, zwyczajny, szary dzień w Getcie. Z powodu krążących po głowie myśli w nocy długo nie mogłem zasnąć, co teraz skutkowało totalnym niewyspaniem i jeszcze gorszym humorem. Po przyniesieniu prowiantu zjedliśmy śniadanie, ojciec poszedł do pracy, mama zajęła się Dawidem, a mnie kazano odprowadzić Huberta na zajęcia.

- Rusz się młody, bo nie zdążymy! - krzyknął do brata.

Zbiegł z piętra z rozpadającym się zeszytem w rękę i błysnął w moją stronę błękitnymi oczami pełnymi radości i siłą do życia.

„Co sprawia ci tyle radości? Tylko nie mów, że chodzenie do szkoły.” - pomyślałem, ale odpowiedziałem uśmiechem.

- Chodź – pośpieszyłem go.

Chwycił szybko wcześniej przygotowaną kanapkę, leżącą na blacie kuchennym i wyszliśmy z domu.

- Czemu mama cały czas karze ci mnie odprowadzać? Jestem już duży! – zagadnął po krótkiej chwili.

- Oczywiście – przytaknąłem z ironią, za co spotkało mnie pełne wyrzutów spojrzenie brata. - Myślę, że to z troski. Jak wszystko, co robią rodzice. Tacy już są... Albo boi się, że nie trafisz, bo masz za mały rozumek! – szturcham brata zaczepnie.

Młodszy próbował mi oddać, ale w porę odskoczyłem i zacząłem uciekać, chichocząc w głos. Hubert ruszył za mną. Tak docieramy do baraku, gdzie dzieci z Getta mają lekcje. Przed domkiem spotykamy naszych sąsiadów, którzy zaoferowali, że po zajęciach odprowadzą mojego braciszka. Zgodziłem się, bo skoro ktoś coś proponuje, to szkoda odmawiać.

Podczas drogi do domu zacząłem się zastanawiać, co robią normalni ludzie w moim wieku, nigdy takich nie spotkałem, bo przecież całe życie spędziłem w Getcie. Świat poza jego granicami jest dla mnie tylko abstrakcją. Czasem spotykamy się z rówieśnikami wieczorami przy ognisku - jeśli tylko mamy je czym rozpałić- ktoś przynosi gitarę z trzema strunami i brzdąka na niej stare piosenki. Rozmawiamy wtedy o tym, jak mogłoby wyglądać życie poza Gettem, gdyby Bóg inaczej poprowadził całą historię, nie dopuścił do pandemii, wojny i prześladowań. Ale dopuścił... Tylko po co? Mało Mu było śmierci przez te kilka tysięcy lat?

Przed naszym domem Igor bawi się z rodzeństwem, pomyślałem - „To były czasy”. Gdy było się dzieckiem, nic nie trzeba było robić, no może tylko nauka była dla niektórych nieprzyjemna, ale poza tym czego można było chcieć więcej? A tymczasem życie pędzi dalej, a my ludzie dorośli... No właśnie, co z nami?

Pewnej nocy usiedliśmy z Igorem na dachu naszego baraku. Padał deszcz, a my, wsłuchani w koncert, jaki odgrywały krople uderzające o blaszane budynki wokół, oglądaliśmy odległe światła miasta i milczeliśmy. Gdy wyjąłem z kieszeni bluzy pomięty niedopałek papierosa i zacząłem obracać go w palcach, poczułem na sobie wzrok przyjaciela.

- Wiem, wiem – wyrzucam śmieć przed siebie na zabłoconą ulicę. - Po prostu...niekiedy mam ochotę zobaczyć, choćby na chwilę, jak t a m jest za murem, a jeśli by mi się nie spodobało, to bym wrócił.

- Czasem z tej drogi nie ma powrotu. To tak jakbyś wiedział, że ktoś zastawił na ciebie pułapkę, z której nie da się uciec, a mimo to się w nią pakował.

- Weź, nie moralizuj jak rodzice.

- Dobrze wiesz, że to prawda – odpowiada poważnie.

Znowu zapada cisza.

- Chciałem cię tylko ostrzec. Jako przyjaciel – odwraca twarz w stronę miasta.

- No wiem – poklepałem go po ramieniu i uśmiechnąłem się.

Odkąd pamiętam był ze mną, wspierał mnie i powstrzymywał przed robieniem głupot, trochę jak taki Anioł Stróż.

Siedzimy tak jeszcze kilka minut, aż zaczynamy odczuwać chłód i wilgoć, którą nasiąkają nasze ubrania.

* * *

Jest niedziela. Wszyscy mieszkańcy gromadzą się w małych wspólnotach na jutrzni. Część osób ma dzisiaj Mszę Świętą, druga część miała ją wczoraj wieczorem, ponieważ w całym Getcie jest tylko jeden ksiądz. Moja rodzina na Eucharystii już była, dlatego teraz idziemy do sali przy sądzie, aby modlić się psalmami. Nie wiem dlaczego, ale ta forma modlitwy najbardziej mnie porusza. Jest dla mnie czymś, co daje mi nadzieję i przedstawia obraz Miłości, Miłości prawdziwej.

Salka mieści około 50 osób. W centrum, pod ścianą naprzeciwko wejścia znajduje się pulpit dla mówiącego. Miejsca ustawione są w podkowę po trzy rzędy. Siadam w drugim rzędzie obok wejścia i zajmuję miejsce Igorowi. Strzałkowscy zawsze się spóźniają, bo wyjście z siódmką dzieci do łatwych nie należy. Na szczęście w naszej wspólnotcie nie przywiązujemy aż takiej uwagi do punktualności i jeśli trzeba, czekamy na wszystkich. Zdarzało się nam zaczynać z 20-minutowym opóźnieniem, natomiast rekord padł przy ponad półtorej godziny obsuwy. My z rodzicami i Hubertem przychodzimy zawsze przed czasem, bo ojciec często zajmuje się przygotowaniami.

Czekam już siedem minut na spóźniającego się Igora, gdy nagle zza pleców wyskakuje Gabriela w jaskrawo - czerwonej sukience, siada obok mnie i zaczyna ze mną rozmawiać. Zbity z tropu i kompletnie rozkojarzony odpowiadam automatycznie.

W niedzielę zawsze ubieramy się odświętnie, wszyscy bez wyjątku, biedni czy bogaci, zakładamy najlepsze ubrania. Gabriela jest piękną dziewczyną, a gdy się wystroi, zapiera mi dech w piersiach i nie mogę oderwać od niej wzroku.

- Pięknie wyglądasz - wyrwało mi się nagle.

- O, dziękuję... – odpowiada, a jej policzki oblewa delikatny rumieniec.

W tym momencie przychodzi Igor i ku własnemu niedowierzaniu jestem zły, że nam przerwał.

- Siema!

- Cześć – odpowiadam z lekkim niesmakiem.

- Hej – wita się dziewczyna i puszcza oko w moja stronę.

Igor przeciska się pomiędzy krzesłami i siada po drugiej stronie Gabrieli. „No tak, myślę, to było do przewidzenia”.

Modlitwa zaczyna się, więc przestajemy rozmawiać i zaczynamy słuchać. Odśpiewaliśmy trzy piękne psalmy, następnie przewodniczący zgromadzenia podszedł do pulpitu i rozpoczął czytanie:

«Strzeżcie się, żeby was kto nie zwiódł. Wielu przyjdzie pod moim imieniem i będą mówić: To ja jestem. I wielu w błąd wprowadzą. Kiedy więc usłyszycie o wojnach i odgłosy wojenne, nie trwóźcie się! To się musi stać, ale to jeszcze nie koniec. Powstanie bowiem naród przeciw narodowi i królestwo przeciw królestwu; wystąpią miejscami trzęsienia ziemi, będą klęski głodu. To jest dopiero początek boleści.

Znałem te słowa, ale nie chciałem wierzyć, że może być jeszcze gorzej.

A wy miejcie się na baczności. Wydawać was będą sądom i w synagogach będą was chłostać. Nawet przed namiestnikami i królami stawać będziecie z mego powodu, na świadectwo dla nich. Lecz najpierw musi być głoszona Ewangelia wszystkim narodom. A gdy was poprowadzą, żeby was wydać, nie martwcie się przedtem, co macie mówić; ale mówcie to, co wam w owej chwili będzie dane. Bo nie wy będziecie mówić, lecz Duch Święty. Brat na śmierć wyda brata, a ojciec swoje dziecko; powstaną dzieci przeciw rodzicom i o śmierć ich przyprawią. I będziecie w nienawiści u wszystkich z powodu mojego imienia. Lecz kto wytrwa do końca, ten będzie zbawiony.

(Mk 13, 5b-13)

Myśli kotłują mi się w głowie. Już nas nienawidzą, więc kiedy nastąpi ten koniec?

Po modlitwie wychodzimy z salki. Z pełnym przekonaniem, że Igor idzie za nami udaję się z Gabrielą na zewnątrz. Niestety ku mojemu zdziwieniu, został w środku! Teraz już nie mogłem uciec od rozmowy.

- Myślałeś co chcesz teraz robić, wiesz w dorosłym życiu? - pyta ciemnooka dziewczyna- Wyprowadzasz się od rodziców? Chcesz mieszkać sam?

Czuję do czego to zmierza. Wiem, że podobam jej się od jakiegoś czasu. Prawdę mówiąc, ona mi też, choć nigdy wprost sobie tego nie powiedzieliśmy. Boję się jednak, ponieważ nie jestem towarzyski i nie dałbym rady wejść w relację z dziewczyną, do tego tak wyjątkową jak Gabriela.

- Jeszcze nie wiem.

- Chyba najwyższy czas się zastanowić? - spogląda na mnie.

Idziemy środkiem placu w stronę parku. Tak, o dziwo mamy park w Getcie. Mały, ale czysty i przytulny. Wchodzimy na trawę i natychmiast uderza nas mocna woń rozkwitających kwiatów. Jakiś kilkuletni chłopiec, widocznie znający Gabrielę, podbiega do nas i wręcza jej zerwany przed chwilą kwiatek, po czym błyskawicznie wraca do rodziców. „Młody ma więcej odwagi niż ja” – myślę.

- Więc? – dziewczyna nie daje za wygraną.

Serce wali mi jak szalone kiedy jest obok, ale obawiam się bycia szczerym.

- Nie wiem. Zostawiam to Bogu.

- Chcesz mnie tym zbyć? Tak po prostu? Rozumiem. Tylko wiesz, z Nim to podobno jest tak, że po to nam dał wolną wolę, byśmy mogli marzyć, planować i działać w tych kierunkach. Przecież Bóg nagle nie ześle ci domu, pracy, rodziny, ty musisz zrobić krok w tym kierunku. Tak mi się wydaje, ale co ja tam wiem...

Nie wiem co mam jej odpowiedzieć. Może ma rację?

- Idziesz do Marka?

Marek to ksiądz w Getcie. Chłopcy, którzy chcą iść w jego ślady, mogą zamieszkać z nim i organizuje im coś w rodzaju seminarium. W końcu, jak sam mówi, nie będzie żył wiecznie.

- Myślałem raczej o małżeństwie – spoglądam na rozmówczynię, ale nie dostrzegam żadnej reakcji.

- A masz już kogoś na oku?

Milczę. Jej pytania bardzo głęboko sięgają po rzeczy, o których nie chcę mówić. Nie jestem gotów się przed nią na tyle otworzyć. Wychodzimy z parku i skręcamy w prawo w stronę Bramy Głównej. O tej porze kręci się tam sporo osób, bo właśnie skończyła się Msza i ludzie zaczęli wychodzić z kaplicy znajdującej się po drugiej stronie placu. Pod Bramą, pilnowaną przez pięciu strażników, dzieje się coś, co przykuwa naszą uwagę i ratuje mnie przed dalszą krępującą rozmową. Kilka osób z zewnątrz zaczyna się przepychać do środka, pokrzykując i przeklinając. Wartownicy starają się ich zatrzymać blokadą z karabinów, również nie przebierając w słowach. W tym momencie w Bramę wjeżdża terenowe auto i niszcząc szlaban, dostaje się na teren Getta. Razem z Gabriellą zatrzymujemy się i obserwujemy wszystko z boku. Żołnierze zaczynają na siebie krzyczeć, ale sytuacja już wymknęła się spod kontroli. Około sześćdziesiąt osób wdiera się do wewnątrz, niektórzy z kijami bejsbolowymi lub inną prowizoryczną bronią. Pojazd, którym zniszczyli bramę, pędzi w stronę ludzi wychodzących z kaplicy. Pogubieni w sytuacji wierni nie mają nawet czasu na odpowiednią reakcję. Auto taranuje przerażony tłum. Gabriela widząc to, cicho jęczy i odwraca wzrok. Powietrze przeszywają wymieszane ryki atakujących i pełne strachu krzyki ofiar. Ludzie zaczynają uciekać, a na placu panuje ogólna panika. Rozlegają się strzały i napastnicy rozbiegają się po Getcie w poszukiwaniu ofiar. Próbuję trzeźwo myśleć.

- Chodź stąd, musisz uciekać – mówię, ciągnąc ją w boczną uliczkę. - Wracaj do domu, ale unikaj głównych ulic.

- A co z tobą?

- Muszę znaleźć Huberta. Miał gdzieś iść z kolegami. Biegiem, ruszaj!

Gabriela przytula mnie, aby dodać sobie otuchy i rzuca się do ucieczki. Odwracam się w stronę placu. Mija kilkadziesiąt sekund, a to miejsce wygląda zupełnie inaczej. Około dwudziestu ciał leży na ziemi ze śladami opon lub pobicia w czarnych plamach krwi zmieszanej z ziemią. Na tym pobojuwisku już prawie nie ma napastników. Dwójka mężczyzn około trzydziestki kijami bejsbolowymi bije leżącą kobietę. W ich stronę biegnie kilku żołnierzy, wrzeszcząc, by przestali. Kiedy ofiara przestaje się ruszać, a mężczyźni nadal nie przestają okładać jej ciosami, dopiero wtedy żandarmi reagują i strzelają do oprawców. Dwa trupy padają na ziemię z głuchym tąpnięciem. W oddali kilkakrotnie słychać wystrzały i krzyki. Żołnierze mnie zauważają i celują we mnie.

- Nie, zaczekajcie! – krzyczy Marcel do swoich kolegów. - To tutejszy!

Podbiegam do niego, a reszta wojskowych rozbiega się, aby ścigać agresorów.

- Pomóż mi znaleźć mojego brata - proszę go.

Kiwa głową, zgadzając się, i ruszamy w głąb Getta.

Biegniemy ulicą, na której leży kilka ciał. Część osób rusza się lub próbuje pomóc innym rannym. Z Marcelem zmierzamy w stronę centrum, gdzie miał być Hubert. Powietrze co chwilę przeszywają wystrzały. Wreszcie docieramy pod budynek sądu. Ta część Getta bardziej przypomina

miasto, bo są tutaj betonowe budynki, mające nawet 2- 3 piętra. Z prawej strony nie widać żywej duszy. Widocznie wieść o ataku się rozeszła i wszyscy pochowali się w domach. Spoglądam w lewą stronę tam, gdzie ruszył mój kolega. Kilku napastników tłucze szyby w budynkach i niszczy najbliższe baraki. Zauważają Marcela w mundurze i z bronią w ręku, ale nic sobie z tego nie robią. On strzela kilka razy w powietrze i krzyczy:

- Spadać do miasta! Już!

Spłoszeni hukiem agresorzy rozpierzchają się jak dzika zwierzyna. Śledzę jednego z nich wzrokiem, ponieważ biegnie w przeciwnym kierunku niż inni. Wtedy w bocznej uliczce, w którą wbiega, zauważam ukrywającego się mojego brata z kolegami.

- Hubert wiej! - wrzeszczę przez całą ulicę i rzucam się pędem w ich stronę. Jego kumple znikają w ciemnej uliczce, ale on nie widzi zagrożenia nadciągającego z przeciwnej strony.

- Wiej głębie! - wrzeszczę, ale on tylko uśmiecha się na mój widok.

Napastnik jest szybszy. Dobiega do uliczki pierwszy i z zamachem uderza Huberta w głowę metalową rurą, którą cały czas miał w ręku. Brat znika mi z oczu, a oprawca umyka. Staję jak wryty. Przestaję wszystko słyszeć. Jestem w szoku. Dostakuję do leżącego ciała.

- Hubert! - wrzeszczę na całe gardło i sprawdzam puls.

Twarz ma całą zakrwawioną. Nie wyczuwam tętna. Mój brat umarł. Podnoszę wzrok i na końcu ulicy dostrzegam zabójcę. Uśmiecha się zadowolony, że osiągnął cel. Błyskawicznie zrywam się w jego stronę. Jeszcze nigdy nie biegłem tak szybko. Adrenalina pcha mnie do przodu. Z naprzeciwka pojawiło się kilku żołnierzy i morderca nie ma teraz dokąd uciec. Widząc mnie, wojskowi nie strzelają, tylko czekają na mój ruch. Dopadam napastnika. Nie powstrzymuje mnie silne uderzenie stalową rurką, które odpycham ręką. Nie czuję bólu, a jedynie wściekłość. Wyrwam mu broń, a wolną pięścią uderzam go w twarz. Mężczyzna przewraca się. Ma około czterdziestu lat. Marcel wstrzymał gestem kolegów, by nie wkraczali do akcji.

- Ty gnoju, zabiłeś mojego brata! - kopię go w totalnej furii. Nie sądziłem, że mam tyle siły. Na chwilę się opamiętuję i patrzę na skulone ciało miastowego. Nie mam dla niego współczucia. Chciałbym go zabić. Wtedy czuję na ramieniu czyjś dotyk. Odwracam się, widzę Marcela trzymającego pistolet rękojeścią w moją stronę.

- Jest twój. Możesz się zemścić.

Nie myślę co robię. Jestem zbyt zdenerwowany, by trzeźwo ocenić sytuację. W przypiętych emocjach chwytam za broń i celuję w głowę mojej ofiary. Nie zwracam uwagi na jego przerażony wzrok.

- Nie zabijesz mnie! Jesteś katolem! Nie możesz!

Słyszę jak jakiś głos w mojej głowie przyznaje mu rację. Nie powinienem. To zbrodnia.

- Zabił ci brata. Masz do tego prawo – słyszę zza pleców głos przyjaciela. - Zrób to! Strzelam.